

*Dobro zawsze walczy ze złem.  
Jeśli dobro przegra, a walka trwa nadal  
– kto wtedy walczy?*  
(Odd)

Edefor

– Stać! – ryknął Gramon na znak Bazaka, gdy zobaczyli mury portu.

Miasto wyglądało dokładnie tak, jak je zostawili, wyludnione i puste. Jednak w środku coś się paliło. Już z daleka widzieli słup ciemnego dymu unoszący się nad Edefor. Gęste, szaroczarne obłoki przypominały burzowe chmury, które wisiały nad miastem.

Dowódca Angetów wciągnął nosem powietrze.

– Co czujesz? – zapytał Gramon, stając obok. Z przyzwyczajenia chwycił rękojeść stalowego topora. Dodał mu pewności siebie.

– Nic... Idziemy...

– Naprzód!

Gdy minęli bramę, dostrzegli gromadę przestraszonych ludzi rozbiegających się po opuszczonych domach. Mieli na sobie brudne, potargane łachmany.

– Przyprować ich? – zapytał groźnie Gramon.

– Chcesz zabijać bezdomnych, którzy wreszcie mają gdzie się schronić? Chwalebne pieśni śpiewano by o nas po powrocie:

*Toporem w ciało, co nie uciekało,  
gdyż sił nie miało, więc samo się nań nadziało.*

Gramon zrozumiał ironię Bazaka, ale mimo to rzekł:

– Zabicie kilku Archeończyków dobrze wpłynęłoby na nasze morale. W końcu po to tu przyplłynęliśmy. Może rozdamy im miecze i...

– Do reszty zgłupiałeś?

Gramon skrzywił się i zamilkł, ale nie na długo:

– Twoi ludzie przyplłynęli po chwałę, łupy i serca tchórzliwych Archeończyków, a Antiem poczęstowało ich jedynie zgnilizną i widokiem zakrzepłej krwi, którą nie oni przelali.

– Zamknij się...

– Co?

– Stul pysk! – Bazak zatkał mu usta śmierdzącą od potu rękawicą. – Słyszysz to?! Słyszycie?! – zwrócił się także do wojowników.

– Może to statki z naszymi ludźmi?

– Nie, to coś innego.

Dochodziło do nich głucho dudnienie szybko przybierające na sile.

– Tam! Na wzgórzu! – krzyknął jeden z wojowników. Wskazał miejsce potężnym, zakrzywionym, obojczykowym mieczem.

Spomiędzy skał wypęły czarne sylwetki. Biegły zбочem w dół – w stronę miasta. Pomiędzy nimi pojawili

się też jeźdźcy. Mijani przez piechurów, pozostawali w tyle. Z pewnością byli to dowódcy oddziałów.

Gramon ściałnął brwi i przyjrzał się nacierającej *hordzie*. Wojownicy biegli na złamanie karku. Co chwilę któryś przewracał się, turlał i ponownie wstawał. Często jedni podcinali drugich.

– I to ma być armia, która doprowadziła do upadku największego miasta na tych zapchlonych ziemiach?

– Na to wygląda. Przygotuj ludzi.

– Zamknąć bramę?

– A szukasz walki czy schronienia? Przymknij, ale nie rygluj. I tak ją sforsują.

Gramon uśmiechnął się i przekazał Angetom dobrą wiadomość. Wojownicy wznosili ręce i broń w górę, dziękując Goralowi, że nie przybyli tu na daremno. Dla Angetów śmierć w walce była celem i sensem życia. Gdy zmożony niemocą wojownik umierał na łożu, okrywał się hańbą.

– Zaczekajcie, aż miną bramę! Gdy tylko to nastąpi, dajcie im posmakować stali z północnych kuźni. Miażdżcie czaszki i ucinajcie głowy. Niech Goral będzie mógł wybierać w waszych czynach, gdy staniecie przed nim w dzień sądu ostatecznego!

Wojownicy ustawili się przed bramą w półokręgu. Gdy *Veneri* zbiegli ze zbocza, zniknęli Angetom z oczu. Mieszkańcy Północy zakładali, że wkrótce wróg weźmie bramę szturmem, ale ich cierpliwość została wystawiona na próbę. Dzikie ryki wkrótce ucichły. Zaczęli szeptać między sobą, próbując dociec, gdzie podział się wróg.

Pierwszy nie wytrzymał Gramon. Rozerwał ciasny dwuszereg, rozpychając wojowników. Podszedł do

bramy i... zdziwił się. Patrząc przez szczelinę pomiędzy jej skrzydłami, dostrzegł wroga spokojnie czekającego przed miastem. Angeci nie rozumieli takiego zachowania. Przemawiała do nich jedynie brutalna siła i szaleństwo w walce. Zazwyczaj stronili od taktyki, którą uznawali za niepotrzebną.

Gramon ryknął, napinając mięśnie do granic możliwości. Samodzielnie pchnął potężne skrzydło. Otwierając je niemalże na oścież, zaprosił do środka wojowników w czarnych zbrojach.

Wyzute z uczuć postacie o sinych twarzach obojętnie spoglądały na zdezorientowanego wroga. Nagle *Veneni* się rozstąpili, przepuszczając rycerza dosiadającego czarnego rumaka. Z jego pyska buchały obłoki ciemnej pary. Wojownik wolno zbliżył się do Gramona, który oburącz trzymał topór. Stał w rozkroku, gotowy do walki.

*Venen* zatrzymał się w odległości pięciu kroków. Gdyby Angeta chciał, mógłby skoczyć do przodu i ubić jego konia.

– Kim jesteście i skąd przybywacie? – zapytał niespodziewanie rycerz głosem jak zza grobu.

Gramon obejrzał się na Bazaka, który skinął głową.

– Jesteśmy Północą, która zapragnęła Południa.

– Przyłączcie się do nas dobrowolnie albo zmusimy was do tego.

Gramon parsknął śmiechem. Sam Goral musiał mu zesłać tego żartownisia, aby jego wnętrznościami naostrzył sobie topór przed walką.

– Jestem Angetą, czarny fajfusie. Potomkiem pierwotnego ludu Północy. Nikt nigdy do niczego mnie nie

zmusił i nie zmusi, pókim żyw – oznajmił groźnie i zbliżył się o dwa kroki.

– Jeżeli taka twa wola, Angeto... – Rycerz spokojnie zawrócił konia.

– Już ja ci pokażę przymus... – Gramon podbiegł, biorąc potężny zamach. Wskoczył od tyłu na czarnego rumaka, jednocześnie zatapiając w plecach rycerza bojowy topór. Uderzenie było tak potężne, że przebiło zbroję i wbiło się w ciało rycerza. *Venen* spadł z wierzchowca i grzmotnął o ziemię.

Gramon schylił się i wyszarpnął topór ze zwłok. Chwytając cugle, zawył jak dziki zwierz. Koń stanął dęba. Za wszelką cenę chciał zrzucić wrogiego jeźdźca. Angeta przytrzymał się grzywy i uniósł broń, obracając konia do swych pobratymców, z których gardeł wyrwał się pochwalny ryk. Gramon chciał natrzeć się krwią pokonanego, ale topór ociekał czarną mazią. Nie zorientował się, że za jego plecami rycerz podniósł się i sięgnął po upuszczony miecz.

Słyszac brzęk metalu, Gramon obrócił głowę. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Ostrze nie zostało wymierzone w niego, a w nogi czarnego wierzchowca. *Venen* za jednym zamachem uciął zwierzęciu wszystkie cztery kończyny. Koń, rżąc przerażliwie, padł na bok, zrzucając z grzbietu wojownika. Ten przeturlał się i wstał. Nie czekał, aż rycerz przypuści atak. Rozpędził się. W biegu łapiąc topór, odbił się od tułowia dogorywającego, wierzgającego kikutami czarnego rumaka. Wzbił się w powietrze niczym ptak.

*Venen* zasłonił się mieczem. Bez większego problemu sparował potężny atak.

Gramon nie dowierzał sile, jaką dysponował przeciwnik. Każde jego uderzenie przypominało rażenie piorunem. Brakowało jedynie grzmotów. Zastępowały je brzęki stali i błyski powstałe na skutek zderzającej się broni. Ciosy były tak potężne, że ostrza niemalże czerwieńły się, a trawa pod nimi zapalała od spadających iskier.

Dopiero gdy doszło do klinczu, Gramon ostatecznie zrozumiał, z jaką siłą przyszło mu się zmierzyć. Rycerz odepchnął go niczym chuderlawego łachmytę, po czym kopnął w klatkę piersiową. Wojownik poleciał do tyłu. Przekoziółkował przez bramę i spoczął u podstawy półokręgu utworzonego przez pobratymców. Odniósł wrażenie, iż uderzył go rozjuszony bawół. Wstał, ale nie miał już na twarzy złowrogiego uśmiechu, z jakim po raz pierwszy rzucił się z toporem na wroga. Nawet on potrafił zważyć swe szanse. Nie miał zamiaru się poddać, ale wiedział, że wkrótce przyjdzie mu pojednać się z przodkami. Wtedy u jego boku stanął Bazak i uderzył młotem o topór towarzysza.

– Razem, bracie!

Za nimi ustawili się pozostali.

– Niech stal naszych przodków przemówi za nas! O tej bitwie wasze dzieci będą śpiewały pieśni, dopóki nie zedrą sobie gardeł!

Gdy Angeci podnieśli bitewny okrzyk, osamotniony rycerz jedną ręką pchnął drugie skrzydło bramy, ukazując kolejnych pięciu takich jak on – na koniach, stojących na czele kilkutyśycznej armii. *Venen* uniósł miecz i uderzył ostrzem o ziemię. Podłoże zadrżało, a *Czerń* ruszyła na miasto.